

Ucieczka polskiego oficera z transportu do Starobielska

Barbara M. J. Kukulska

Żyli wśród nas cisi bohaterowie II wojny światowej. Zupełnie przypadkowo, w rozmowie z Przemkiem Dąbrowskim zamieszkałym z rodziną w Pretorii, okazało się, że przyjechał z Anglii z rodzicami do Południowej Afryki mając zaledwie sześć lat, w lutym 1948 roku.

Historia to niezwykła i zupełnie nie znana tutejszej Polonii. Jego ojciec będący oficerem, uciekł we wrześniu 1939 roku z transportu kolejowego skierowanego do Starobielska. Pociąg był pod ścisłą kontrolą NKWD, a jednak udało się Zygmuntowi Dąbrowskiemu w sposób nieprawdopodobny zmylić pilnujących i wydostać z wagonu, co uratowało mu życie.

Major dypl. inż. Zygmunt K. Dąbrowski (ojciec Przemka) opisał wspomnienia z września 1939, w pracy konkursowej w r. 1980, która w r. 1986 wraz z innymi nagrodzonymi pracami konkursowymi została wydana w formie książki przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie i Fundusz Kazimierza F. Vincenza w Szwajcarii.

Zygmunt Dąbrowski był odkomenderowany z wojska na studia na Politechnice Warszawskiej na wydziale mechanicznym sekcję uzbrojenia które ukończył w roku 1937 z tytułem inżyniera mechanika. Po wybuchu wojny mając stopień porucznika dostał przydział w Wojskowym Instytucie Przeciwigazowym w Warszawie i 4 września 1939 roku zameldował się tam na podstawie planu mobilizacyjnego „z czerwonym paskiem”. Pogłoski głosiły, że front zachodni trzyma się bardzo dobrze. Pomimo tego zwierzchnicy Wojskowego Instytutu zdecydowali się na zabezpieczenie całego sprzętu Instytutu i przewiezienie w nocy z 4 na 5 września na drugą stronę Wisły do Mińska Mazowieckiego. W dniu 5 września por. Dąbrowski otrzymał rozkaz zmiany miejsca postoju i dojechania na własną rękę do Mińska Mazowieckiego.



Zdjęcie ślubne Marii i Zygmunta Dąbrowskich. Pobraли się w Warszawie, 28 czerwca 1934 r. w kościele św. Krzyża.

Był od pięciu lat żonaty z Marysieńką, która pakując do jego walizki kilka bochenków chleba i puszki konserw, naraz nieoczekiwanie zawołała:

- Ja jadę z tobą! Wyjęła z walizki jeden bochenek chleba i włożyła na jego miejsce parę swoich rzeczy. Zamknęła walizkę i była gotowa. Ubrana była w ciemnozielony kostium sukienny wyglądający jak mundur.

Opisuje dalej:

Miałem jechać na własną rękę koleją i nie widziałem, abym przekraczał jakikolwiek punkt regulaminu służby biorąc Sieńkę (dop. aut.: *skrót od MarySieńki*) ze sobą. Zabrałem walizkę i polowy płaszcz wojskowy, a Sieńka w rękę wzięła swoją jesionkę brzoskwiniową. Poszliśmy do tramwaju. Pamiętam, że się obejrzałem na dom, w którym przeżyliśmy nasze pierwsze pięć lat małżeństwa tak szczęśliwie. Zobaczyłem jak właścicielka domu wychyliła się z okna i przeżegnała nas odchodzących krzyżem. Dom ten, jak się dowiedzieliśmy później, został w kilkanaście dni później trafiony pociskiem artyleryjskim przez Niemców oblegających Warszawę. Był on na ulicy Ursynowskiej 24.

Niedaleko Dworca Głównego znajdowało się biuro Orbisu, gdzie por. Dąbrowski wstąpił po mapę Europy, aby być zorientowanym i „móc obserwować jak i gdzie Alianci nasi zaatakują Niemcy”. Odległość pomiędzy Warszawą a Mińskiem Mazowieckim to zaledwie 50 km.

Pociąg stawał wiele razy i biegaliśmy w pole do rowów, lub pod drzewka, gdy samoloty leciały. Ani jedna bomba na nas

jednak nie spadła, ale jazda była tak zwolniona, że wreszcie zapadła czarna noc, a my ciągle jechaliśmy i stawaliśmy.

Po ośmiu godzinach dojechali do Mińska Mazowieckiego. Tam okazało się, że Instytut ma rozkaz dalszej ewakuacji na Brześć. Skierowano ich do towarowego pociągu, gdzie było wielu „oficerów z Instytutu, którzy też z żonami przenosili się z Warszawy do Mińska Mazowieckiego”.

Dotarli do Siedlec, a stamtąd po kilku dniach jazdy dojechali do Lwowa w dniu 10 września. Wojskowy Instytut Przeciwigazowy miał pracować na Uniwersytecie Lwowskim w pracowniach Wydziału Chemicznego. Już 12 września zarządzono alarm na Uniwersytecie. Rozdzielono kadrę Instytutu na trzy części i kolejno opuszczano w pośpiechu miasto Lwów. Część kadry wraz ze sprzętem Instytutu wysłano na samochodach ciężarowych. Następne grupy wymaszerowały ze Lwowa 13 września

piękną drogą, z obu stron wysadzaną drzewami, kierując się na Złoczów. Był piękny słoneczny dzień. (Żona) Sieńka żwawo maszeruje w jednej czwórce ze mną, por. Sajdakiem i ppor. Szpyrkowiczem. Jedyne bagaż, jaki mieliśmy, to była moja torba oficerska, zawierająca najniezbędniejsze rzeczy.

Walizki i wszystkie rzeczy stanowiące ekwipunek zmagazynowali przed wymarszem w podziemiach Uniwersytetu Lwowskiego. Nigdy już tam nie wrócili. Maszerowali i byli podwożeni podwodami.

Nad ranem 15 września w piątek dotarliśmy do grupy chatek, należących do jakiejś osady, czy wsi, w pobliżu Brodów i poszliśmy spać w stodole na sianie. Nagle obudziła nas kanonada strzałów armatnich od wschodu. Zerwaliśmy się, bo gdzież nam było do spania! Czyżby Sowiety uderzyły nas zdradziecko? Jeśli tak, to przecież byłaby niewiarygodna katastrofa dla nas i już mowy by nie było do kontynuacji zorganizowanego oporu naszej armii.

Okazało się, że „lotnik niemiecki bombardując stację kolejową trafił w pociąg z amunicją artyleryjską, która wybuchła samoczynnie, choć samolot nieprzyjacielski dawno odleciał.” Z Brodów odesłano oddział na północ do Dubna, gdyż dowódca garnizonu Dubna zgodził się na przyjęcie Instytutu do tworzonej przez niego Legii Oficerskiej.

Dołączenie miało nastąpić w niedzielę 17 września 1939 roku.

Ale gdy ten dzień nadszedł, jednocześnie z nim nadeszła

wstrząsająca wiadomość, otrzymania której tak się obawialiśmy dwa dni temu: Armia Czerwona wkroczyła do Polski. W Dubnie ich jeszcze nie było.

Dowódca oddziału

zarządził odprawę dla wszystkich oficerów Instytutu. Zawiadomił nas, że wkroczenie Sowietów do Polski jest pogwałceniem i zerwaniem wszelkich umów z Polską, ale że nie ma rozkazu stawiania im oporu zbrojnego.

Zastanawiano się co w tej sytuacji zrobić, kiedy oddział znajdował się daleko na północ. Najwłaściwsze wydawało się iść na Rumunię i dalej na zachód do nowej Armii Polskiej. Jednak ten plan był nie do zrealizowania, gdyż trzeba przejść przez wrogie Polakom tereny wsi ukraińskich dzielących oddział od Rumunii.

Po naradzie oficerskiej dowódca major Brzozowski zdecydował, że oddział rusza w kierunku Warszawy. Do przebycia były Demidówka, Beresteczko i dalej bocznymi drogami na zachód. Dowódca przekazał, że

oficjalne cele wkraczających bolszewików nie są znane, ale

na pewno oni nie idą, aby się bić z Niemcami i na pewno nie jest ich celem wsparcie i utrzymanie Armii Polskiej. Im dłużej unikniemy zetknięcia z nimi, tym lepiej będzie dla naszego oddziału.

Oddział dotarł aż do rzeki Bug i nie spotkał na swej drodze czerwonoarmistów. Natomiast dowódca z Dubna wraz z utworzoną przez niego Legią Oficerską skierowali się

na południe, gdzie już pierwszej nocy zostali ostrzelani przez sowieckie karabiny maszynowe i wkrótce wszyscy znaleźli się w łapach bolszewickich. Prawda, że los ich potoczył się tym samym torem, co i ewentualnie i naszych oficerów: Szepietówka, Kozielsk lub Starobielsk, a potem różne Katynie!

Oddział wędrując bez przerwy, korzystał z podwodów. Napotykali na drodze inne oddziały polskie, które też obrały kierunek przez historyczne miasteczko Beresteczko. Kolumny wymijały się, zjeżdżały z drogi. Całe wzgórze pokryte było masą taborów, artylerii i różnych oddziałów maszerujących na zachód. Oddział dotarł do polskiej wsi osadników wojskowych Drużkopol. Mężczyźni z tej wsi pracowali jako policjanci w Horochowie i zdecydowali, że będą trwać na swoich posterunkach.

Wszyscy ci Polacy czekają na nieznaną i nieuchronną przyszłość bezradnie, a my zdajemy sobie sprawę z tego, że ona będzie straszna. I niewątpliwie taką była!

Dowódca oddziału „mjr Brzozowski zarządził odprawę: Warszawa walczy dalej! Maszerujemy do niej!” Major Brzozowski kupił dodatkowy wóz od hrabiego Potockiego i dostał też od niego przewodnika do wskazania bocznych dróg, aby uniknąć spotkania z bolszewikami. Ludność ukraińska dekorowała kwiatami bramy wjazdu do miejscowości na powitanie Armii Czerwonej. Natomiast w polskich wioskach goszczono ich chlebem i mieli zapewnione bezpieczne noclegi. Oddział zbliżał się do wiosek ukraińskich. Ukraińcy zrobili zasadzkę na zwarty oddział polskiego wojska i zmusili do oddania broni i amunicji.

Fakt rozbrojenia odczuwaliśmy jako policzek, jako fizyczny ból, jako hańbę dla munduru żołnierza polskiego. Inna sprawa, że zasadzka była dobrze pomyślana i miejsce na nią kapitalnie wybrane. Pewno, że mogliśmy próbować rozpierzchnąć się do domów wzdłuż drogi i bronić się z nich, ale z taką bronią jaką my mieliśmy, to było bezsensowne. Zresztą, co by nam to dało? Nie mieliśmy się gdzie przebić ani też znikąd oczekiwać pomocy! Szliśmy dalej. Przeszliśmy przez wieś, potem koło tego lasu skąd do nas poprzednio

strzelano.

Oddział kierował się na Poryck do mostu przez Bug, ale chciał uniknąć spotkania na swej drodze bolszewików. Otrzymali meldunek, że bolszewicy już są we Włodzimierzu Wołyńskim. Wcześniej była osada czeska, gdzie dowiedzieli się, że z Porycka nie da się przejść na drugą stronę Bugu. A jednak próbowali dostać się jak najbliżej rzeki. Na drodze zatrzymani zostali przez uzbrojonych Ukraińców, którzy zrewidowali wojskowych szukając broni. Po przeszukaniu, wydali zaświadczenie o rewizji i o nie posiadaniu broni. Po wkroczeniu do Porycka spotkała ich ponowna kontrola i skierowanie na nocleg do czeskiej wsi. Utworzony był tam komitet samorządowo-czerwony, który przydzielił oddziałowi urzędowego przewodnika z przepustką pozwalającą na poruszanie się tylko do 15 km.

Maszerujemy, budząc ciągle zdziwienie spotykanych ludzi, skąd się tu naraz wziął zwarty i zdyscyplinowany oddział wojska polskiego. I znów kontrola naszej przepustki przy jakiejś bramie triumfalnej zbudowanej dla Sowietów z zieleni, z kwiatkami już zwiędłymi.

Nie dano im spokojnie przejść, zostali otoczeni przez Ukraińców wymachującymi karabinami i krzyczącymi na nich. Sytuacja była

coraz groźniejsza, gdyż oddział znajdował się na terenie zajęтым przez Sowietów.

Jedynym światłem przed nami była ta broniąca się Warszawa, do której chcieliśmy dotrzeć, nawet nie zastanawiając się, jak my do niej się dostaniemy.

Ukraińcy zmusili oddział do marszu drogą prosto do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie zajechał im drogę czerwony samochód z „komandirami” sowieckimi. To byli NKWDziści mówiący do nich po rosyjsku i ponownie kontrolujący, rewidujący. W mieście po których ulicach jeździły polskie samochody osobowe z sowieciarzami w środku, skierowano oddział do dużej bramy.

My ciągle jeszcze mieliśmy złudzenia, że nas sprawdzą i pozwolą iść dalej, za Bug, ...teraz nadzieje nasze zmaląy. Rozejrzeliśmy się. Przed nami widać wysoki długi mur.

Okazało się, że to było więzienie. Oficerowie sowieccy w czapkach z okrągłymi daszkami z granatowym otokiem NKWD, wypytali polskich oficerów o ich dane. To, że są pracownikami naukowymi Wojskowego Instytutu, nie przekonało ich i po kolei

zostali zapisani w książkach ewidencyjnych. Jedynie żona, Marysieńka Dąbrowska została wypuszczona w nocy i ulokowana u Polaka aptekarza we Włodzimierzu Wołyńskim.

2

*Skreślono z Księgi
Rap. d'office*

RYSOPIS - SIGNALEMENTS

FOTOGRAFIE - PHOTOGRAPHIES

Rok urodzenia } *12.10.1909* Żona - Femme *1909*
Date de naissance } *1896*

Miejsce urodzenia } *Grodzisk Maz. Warszawa*
Lieu de naissance }

Stan } *żona - mariée* *małżonka - mariée*
Etat civil } *inżynier - ingénieur*

Zatrudnienie } *Kapitał - marchand*
Profession }

Wzrost } *średni - moyenne* *średni - moyenne*
Taille }

Twarz } *owalna - ovale* *owalna - ovale*
Visage }

Włosy } *c. blond - blonds f.* *c. blond - blonds f.*
Cheveux }

Oczy } *niebieskie - bleus* *szare - gris*
Yeux }

Znaki szczególne } */*
Signes particuliers }

DZIECI - ENFANTS

Wiek } *inżynier i 12.10.1909*
Sexe } *inżynier et 12.10.1909*

Podpis posiadacza
Signature du porteur

Zygmunt Dąbrowski *Maria Dąbrowska*

WŁADYMIERZ WOŁYŃSKI

Paszport Marii i Zygmunta Dąbrowskich wystawiony w Budapeszcie. Czerwonych skreśleń dokonano w Londynie.

podoficerowie wojska polskiego. Zgromadzono ich tam bardzo dużą grupę. Około południa, dnia 23 września 1939 roku, po otwarciu bramy więzienia wyprowadzono wojskowych poza bramy.

Przy każdym szeregu czwórki, z każdej strony szedł krasnoarmiejec z bagnetem na karabinie. Kolumna oficerów i podoficerów maszerowała ustawiona w szyku według starszeństwa; starsi oficerowie na przodzie, potem stopniowo młodszy stopniem, potem podoficerowie i szeregowi. Gdy ładowano wagony na przodzie, niedaleko nas zebrała się grupa kobiet, żon oficerów garnizonu z Włodzimierza Wołyńskiego.

Odszukały swoich mężów i rozmawiały z nimi płacząc. Ja odezwałem się do którejś z pań i poprosiłem, żeby dała parę rzeczy mojej żonie, która nie wie, że mnie wywożą. Dałem jej adres Marychny, paręset złotych, bo przecież była bez grosza oraz jej paszport, który miałem w mojej torbie oficerskiej. Tymczasem ładowanie wagonów postępowało i po chwili zaczęto ładować do wagonów tuż przede mną, a że my byliśmy na końcu kolumny oficerów polskich, więc załadowano nas, jako ostatnich oficerów do przedostatniego wagonu. Ostatni wagon zawierał tylko podoficerów i szeregowych. (...) Skoble suwanych drzwi naszych wagonów

towarowych były zawiązane na zewnątrz drutem, czego dokonywano natychmiast po załadowaniu kolejnego wagonu.



Por. Zygmunt K. Dąbrowski.

Wewnątrz wagonu, w którym było 40 ludzi, oficerowie rozlokowali się na podłodze i na małej mapce, którą ktoś

posiadał, wykreślili przypuszczalną trasę pociągu: Kowel, Równe, Zdołbunów. Zastanawiali się, gdzie zostaną przewiezieni w eskorcie krasnoarmiejców.

I wtedy ktoś zapytał: – Co oni z nami zrobią?, a z przedniego końca wagonu rozległ się stanowczy głos: – Oni nas zabiją! Nikt nie podjął dalszej dyskusji na ten temat!

Na stacji Równe, zaczęto ponownie sprawdzać dokumenty więzionych w wagonach ludzi i zwalniać cywilnych, którzy przypadkowo tam się znaleźli. Ktoś idąc do kontroli wyrzucił płaszcz żołnierski. Został on natychmiast złapany przez przyjaciela i przekazany Zygmuntowi, który swój piękny, dopasowany płaszcz oficerski stracił wcześniej podczas przeprawy z Ukraińcami.

Pociąg jechał wolno i po dwóch dniach 25 września dojechał do stacji Zdołbunów, gdzie zaczęto wypuszczać po 5-6 osób na „potrzeby własne”. Drzwi wagonu zasuwane były przez cały czas, a pilnował porządku krasnoarmiejec z karabinem w ręku. Por. Dąbrowski został wypuszczony w drugiej grupie. Pociąg wiozący polskich oficerów, był jedynym na stacji, gdzie wagony (z wyjątkiem ostatniego) były zamknięte, zadrutowane i pod strażą. W pociągu tym byli m.in. oficerowie którzy wraz ze swymi oddziałami stawiali zbrojny opór bolszewikom. Por. Dąbrowski

niepostrzeżony, robiąc małe kroki, przesunął się ze swojej oficerskiej grupy do grupy podoficerów i szeregowców przy ostatnim wagonie, w którym „było lepsze traktowanie”. Żołnierski płaszcz, który miał na sobie przykrywał ubiór oficera.

Krasnoarmiejcy

po pewnym czasie zdecydowali, że nasza grupa ma już wsiadać do wagonu... Ja na to zrobiłem dalszy krok w bok, który mnie całkiem dołączył do „nie oficerów”, od których nie odróżniałem się strojem zewnętrznym, poza eleganckimi butami oficerskimi.

Atmosfera w tym wagonie nie była tak napięta jak w wagonie oficerskim.

Na środku wagonu stała skrzynka otwarta z jabłkami, sprzedano mi kilka za 5 zł. Dostałem też chleba za 2 zł. Potem ktoś, kto miał sporo liści tytoniowych, zrobił transakcję ze mną i znalazłem się w posiadaniu sporej paczki. Dałem potem połowę ich przez okno [por.] Sajdakowi i [ppor.] Szpyrkowiczowi (dop. aut.: *przyjaciołom z wagonu oficerskiego*). W pewnej chwili, nie wiadomo skąd i od kogo, wieść się rozeszła, że możemy wychodzić z wagonu, że

jesteśmy wolni na stacji Zdołbunowa. Drzwi wszystkich innych wagonów naszego pociągu były dalej zawiązane drutem i straż z ręcznymi karabinami maszynowymi dalej przy nich stała. Przysunąłem się pod okienko mego dawnego wagonu. Dałem te moje tytoniowe liście Sajdakowi i powiedziałem, aby wzięli sobie moją torbę oficerską. Od tych wagonów pilnowanych odsunąłem się jednak, uważając bliskość ich za teren ryzykowny. Gdy odchodziłem z ciężkim sercem, z okien mego wagonu patrzyły za mną głowy milczące. Wagon nieoficerski był już pusty. Odtąd już nikt nie miał szansy ucieczki. Poszedłem na sąsiednie tory bezcelowo, nie wiedząc właściwie, gdzie mam iść i co robić...

Okazało się, że na długim placu miasteczka, bolszewicy zarządzili zbiórkę żołnierzy. Rozsyłano to wielkie nagromadzenie polskich żołnierzy w trzech kierunkach „do domów”. Ustawiony w dwuszeregu wraz z żołnierzami, zwracał uwagę swoimi oficerskimi butami. To wpłynęło na niepokój por. Dąbrowskiego, gdyż obawiał się ponownego uwięzienia i wywózki. Dlatego też, aby temu zapobiec, starał się niepostrzeżenie „wyłuskać” z dwuszeregu i widząc małego chłopca w polskiej harcerskiej czapce, podążył za nim oddalając się od placu. Chłopiec zaprowadził go do swoich rodziców, którzy byli polskimi kolejarzami.

Powiedziałem im, że jestem oficerem, że na zbiórce zarządzanej przez bolszewików moje buty zwracały uwagę i prosiłem, czy nie mają zwykłych butów które mógłbym odkupić od nich w zamian za moje oficerskie.

Przynieśli dziurawe buty, które w tej sytuacji miały wartość życia. Zostawił tam swoje piękne buty, spodnie – bryczesy, kurtkę wojskową z tak zwanej rogóżki. Po wyjściu od przyjaznej rodziny kolejarzy, w najbliższych krzakach zniszczył dokumenty świadczące o jego tożsamości: legitymację oficerską, indeks Politechniki Warszawskiej oraz inne papierki, które mogły go zdradzić. Zostawił tylko tymczasowe zaświadczenie ukończenia Politechniki, gdzie nie było jego zdjęcia w mundurze oficerskim. W nadmiarze pilności darcia dokumentów podarł „papiererek” banknotu stużłotowego, którego później nie mógł odżałować. Zegarek z nadgarstka ręki przełożył na pasku w okolicy łokcia. Wmieszał się w grupę ludzi stojącą w kolejce po chleb.

Chleba ciągle jeszcze nie było, więc w myśl zasady, że lepiej głodno, ale bezpiecznie w tłoku, zrezygnowałem z chleba, zostawiłem kolejkę i dołączyłem do żołnierzy, którzy mi powiedzieli, że jadą na Wołkowysk. Przed furtką stał krasnoarmiejec z bronią.

Po podstawieniu pociągu,

wywoływano: – Białorusini wystąp! Między innymi i ja wystąpiłem (dop. aut.: *por. Dąbrowski dość dobrze władał rosyjskim, gdyż w dzieciństwie mieszkał przez kilka lat w Rosji*).

– Siadać do pociągu! Potem: – Ukraińcy wystąp! Siadać!

Wreszcie: -Polacy! A mało ich było, bo już dawno powsiadali, jako inne narodowości.

W Kowlu przesiadł się na pociąg idący do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie czekała na niego żona Marysieńka. Podczas przejścia z jednego toru na drugi zatrzymany został

przez krasnoarmiejca: – Czasy imiejetie? Odpowiedziałem „Niet” i odsunąłem rękaw, aby pokazać, że nie mam zegarka.

Doszedłem do pociągu, odszukałem wagon drugiej klasy, wszedłem. Byli tam nasi żołnierze, ale było wolne miejsce, więc usiadłem. I tak siedziałem cały dzień od świtu do zmierzchu. Wyszedłem raz, czy dwa i upewniłem się, czy siedzę w dobrym pociągu. „A kiedy odejdzie?” „Niedługo”.

Wracalem na swoje miejsce, do mego przedziału...Wreszcie noc. Pociąg stoi ciągle, a ja się boję, aby rewizji i sprawdzania dokumentów nie było, jako że, kto tu siedzi na stacji w nocy? No i raz wychodzę na peron – pusto, nikogo nie ma, nie ma kogo zapytać. Może jednak jest jakiś inny pociąg do Włodzimierza Wołyńskiego z innego toru!

Przez tę wielką niecierpliwość, wpadł w poważne tarapaty. Ledwo uszedł znów z życiem, gdy zaczął w nocy chodzić po nieoświetlonych torach. Natrafił na służbistę krasnoarmiejca, który wycelował w niego karabin z wysuniętym bagnetem. Nie słuchając jego wyjaśnień doprowadził go do podoficera, który kazał mu strzelać, gdyby aresztowany próbował ucieczki.

Następnie do oficera sowieckiego, który to

komandir raczej zmęczonym tonem powiedział do żołnierza, aby zabrał mnie do krasnoarmiejca stróżującego przy pociągu i spytał go, czy istotnie ja wyszedłem z pociągu. Żołnierz do mnie z bagnetem znowu i wyprowadził mnie na peron. Idziemy kilka kroków i jak tylko wyszliśmy poza zasięg światła lampy koło drzwi komandira, żołnierz wrzucił karabin pod pachę, powiedział do mnie – Stupaj i ja powędrowałem do swego pociągu, a on zniknął w ciemności... Około 7 rano pociąg ruszył i około 11 byłem we

Włodzimierzu Wołyńskim. Dworzec stał daleko od miasta, do którego prowadziła długa, szeroka i pusta ulica.

Por. Zygmunt Dąbrowski nie znał miasta i bał się zapytać o drogę na ulicę Dubnicką, gdzie u polskiego aptekarza zatrzymała się jego żona. Po jakimś czasie odnalazł ulicę i wszedł do kuchni domu. Wyglądał żałośnie; nieogolony z zarostem pięciodniowym, w obdartych brudnych butach, w spodniach z dziurami, oraz swetrze brązowym widocznym spod żołnierskiego płaszcza bez pasa.

Wszedłem do kuchni i prawie na wprost zobaczyłem Sieńkę, która postawiła coś co miała w ręku i podbiegła do mnie, a różne panie (uciekinierki, czy żony wywiezionych oficerów) zawołały widząc nasze powitanie – Co, wypuścili?. Przeraziły się i cofnęły, gdy odpowiedziałem – Nie, ja uciekłem. – A co z innymi? – Wywieźli ich do Rosji!

Na tę moją informację słów wszystkim zabrakło i Sieńka zabrała mnie z kuchni do pokoiku, w którym mieszkała. Opowiedziałem jej, co i jak było i ona poszła podzielić się tym z gospodarzami. Kiedy przyszła, przekazała mi, że się boją, żeby mnie nie zauważono i że musimy odejść jak najszybciej. Zgodziłem się chętnie, bo i mnie zależało na tym, aby zlikwidować się szybko z tego terenu. Zdecydowaliśmy się

ruszyć w drogę o świcie następnego dnia... Pod wołokową okładzinę manierki zaszyłem swoje papierki jakie jeszcze zachowałem oraz okrajaną na owalny kształt boku manierki legitymację kolejową, którą Sieńka miała razem z paszportem (wydaną przez władze wojskowe, jako żonie oficera). Robiąc to wsadziłem paszport żony pod papier okrywający blat biurka, tymczasowo, ale niestety zapomniałem o tym i paszport został tam na zawsze.

O świcie osobno opuścili dom aptekarzy, umawiając się na drodze pomiędzy miastem a stacją kolejową, gdyż nie chcieli, aby ktoś ich widział razem. Był duży ruch i w tym zamieszaniu minęli się, a to mogło pociągnąć zgubne konsekwencje, gdyż Marysieńka Dąbrowska czekała na dworcu i tam zaczepił ją komandir sowiecki.

Po wyrażeniu wspólnej radości, że któregoś z nas nie przyłapali, poszliśmy w kierunku na Uściług i most na Bugu. Doszliśmy do mostu i przeszliśmy spokojnie. Idąc dalej na Hrubieszów spotkaliśmy kolumnę jeńców polskich, całe oddziały: żołnierze z podoficerami i oficerami. To były te oddziały, które będąc osaczone przez bolszewików z jednej strony, a nie mając już amunicji do walki z Niemcami, którzy naciskali ich z drugiej strony, poddali się bolszewikom. Zupełnie tak jak we Lwowie, gdzie bolszewików - bardzo

mylnie niestety – nienawidzono mniej, niż Niemców! Potem wszyscy ci oficerowie byli zamordowani przez NKWD.

Kolumny ich maszerowały w milczeniu na wschód, po lewej stronie od nas otoczone krasnoarmiejcami z bronią. Sieńka i ja szliśmy z duszą na ramieniu ścieżką po prawej stronie drogi i szczęśliwie nie zaczepiono nas, chociaż ja miałem na sobie żołnierski płaszcz niechlujnie rozpięty.

Przeżycia związane z ucieczką z transportu kolejowego, tak bardzo postarzały por. Zygmunta, że napotykanii ludzie, którzy podwozili ich wozem, uważali, że jest ojcem Marysieńki.

Nawet po kilku dniach koło Lublina ciągle musieli uważać, aby ich nie zatrzymano. Władze sowieckie, które rozesłały w Zdołbunowie żołnierzy polskich do domów, po kilku dniach w okolicy Lublina ponownie „zagarniały” polskich żołnierzy.

To już oznaczało nową zmienioną fazę działalności sowieckiej i bardziej aktywne działania NKWD. Idąc, kiedy się już ściemniało, widzieliśmy gdzieś na prawo od kierunku Chełm-Lublin, daleko na przodzie błyski na horyzoncie które miały kształt łun ukazujących się na ułamek sekundy. Ponieważ słysząc było rodzaj głuchych grzmotów z tego kierunku, wywnioskowaliśmy, że to muszą być odgłosy bitwy, która

tam się toczy daleko.

W miejscowości Łączna obserwowali spotkanie konwoju samochodów niemieckich z flagą hitlerowską na przodzie, wraz z grupą samochodów pełnym komandirów sowieckich.

Widać było, że Niemcy uznają bolszewików za współników w napadzie na Polskę i wdzięczni są im za zwycięstwo. Bolszewicy robili wrażenie bardziej zdeorientowanych, jeśli pamiętamy o ich napisach kredą na wagonach: „Na Berlin!” Chociaż władza sowiecka łatwo zmieniała front w stosunku do nazizmu, który dał im połowę znienawidzonej Polski, to do wojska sowieckiego propagandy „przyjaznościowej” nie zastosowano i niektórym oddziałom mogło się wydawać, że oni weszli do Polski, idąc dalej przeciw Niemcom.

Por. Dąbrowski był przekonany, że uratował się z „łap bolszewickich” dzięki modlitwie.

Dziękowaliśmy Matce Boskiej za wysłuchanie naszych modlitw. Głęboko wierzymy, że opiece Matki Bożej, której się gorąco polecaliśmy, zawdzięczamy, że mieliśmy dar szybkiej orientacji w celu wykorzystania okazji i to zarówno teraz,

pod tą nawałnicą sowiecką, jak i później pod okupacją niemiecką.

Dopiero po latach dowiedział się, jak tragicznie zakończyli swoje życie jego koledzy i przyjaciele, oficerowie Wojska Polskiego, z którymi pracował w wojsku w czasie pokoju, i z tymi z którymi odbył wędrowkę wrześniową.



Przemek Dąbrowski urodził się w Anglii, a jego młodsza dwójka rodzeństwa Hanusia i Michał w Południowej Afryce.

Dziękuję Przemkowi i Liliannie Dąbrowskim, za udostępnienie unikalnej książki podającej tę nieznaną historię aresztowania polskich oficerów.

Od autora: Cytaty pochodzą ze wspomnień Zygmunta K. Dąbrowskiego.

Źródło: Mjr dypl. inż. Zygmunt K. Dąbrowski „Moje zderzenie z bolszewikami we wrześniu 1939 - Unik przed którymś z Katyniów.”

Artykuł ukazał się w „Wiadomościach Polonijnych” wydawanych w Johannesburgu w Republice Południowej Afryki.